

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galiczyjskiego Towarzystwa

OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Grotzgera 4. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Mussila, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i stanisławowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego. Czasopismo polecane dla szkół reskrytem c. k. Rady szkolnej krajowej we Lwowie z 30 listopada 1909 L. 35.255

Redaktor: **Józef Białynia Chołodecki** Lwów, ul. Sykstuska I. 62.

Redakcja otwarta w dnie powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt. Wkładka roczna 2 K. 40 h.; w zamian otrzymują członkowie rocznie 12 półtoraarkuszowych zeszytów „Miesięcznika“. Zapisywać się można u prezesa Adolfa Mussila ul. Karola Ludwika 7 I. p. u wiceprezesa Józefa Białyni Chołodeckiego ul. Sykstuska 62 I. p. (od 2—3 popoł.) i u sekret. Marji Mazurkównej ul. Na Skałce 1, parter.

Walne Zgromadzenie

Galiczyjskiego Towarzystwa ochrony zwierząt

odbędzie się

20. kwietnia br. (niedziela) o godzinie 4 popołudniu w małej sali ratuszowej.

Upraszamy członków Towarzystwa i przyjaciół przyrody o liczne przybycie.

Wydział Towarzystwa uprasza uprzejmie P. T. członków mieszkających na prowincji o rychłe nadesłanie rocznych wkładek.

SEWERYN KROGULSKI.

Wystawa sportowo-przemysłowa w Warszawie.

(Dokończenie).

Nadzwyczajną ozdobą wystawy myśliwskiej jest wielka ilość obrazów, pierwszorzędnej wartości artystycznej.

I nie dziw! Wszak mamy tu Chełmońskiego, Fałata, Brandta, Pochwalskiego, Wywiórskiego i in. malarzy scen myśliwskich.

Pierwszy z nich przypomina się swemi iście żywymi „Kuropatwami na śniegu“. Znanie to powszechnie arcydzieło, ma tyle czaru, tyle swojskiego pierwiastka, tyle prawdy i realizmu, przetopionego w ogniu najczystszego talentu i umiłowania tematu, że przykuwa oczy zawsze do tego płata nieskalanie białego śniegu i stadka kur, rozsypanych w parki. Z dziełem tem walczą o palmę pierwszeństwa inne obrazy mistrza, którego podziwiamy tu jeszcze w „Podchodzeniu głuszcza“ i tragicznem „Polowaniu na wilki“.

Szczęśliwym posiadaczem tych skarbów bezcennych jest p. Stefan Dziewulski.

Warszawski Klub myśliwski wystawił obraz Brandta „Dzik na saniach“, Leon Goldstand przepyszne „Dziki“ Wierusza-Kowalskiego, a „Głuszcza tokującego“ prof. Pochwalskiego p. Franciszek Eismund, który sam malarz, zapoznaje ze swoim obrazem, przedstawiającym polowanie z puhaczem.

Przykuwa uwagę pomiędzy resztą obrazów — których nie można omówić tu w sposób dość wyczerpujący — znakomity portret głośnego sportsmena Dachowskiego, pędzla Wojciecha Kossaka.

Zdobi on właśnie jedyną w swoim rodzaju kolekcję 207 nagród, zdobytych na konkursach hipicznych, bądź osobiście przez wystawcę — bądź też przez jego konie. Bogaty ten zbiór, mieszczący w sobie cenne serwisy, puchary, bronzy, budzi ogólne zajęcie.

W dziale hodowli zwierzyny wystąpiło bardzo fachowo i plastycznie „Polskie biuro leśne“, istniejące od kilku lat w Warszawie, założone przez Spółkę: Zdzisł. ks. Lubomirskiego, Wacława Anleytnera, Marcelego Łączkowskiego, Jana

Gąsowskiego, Januarego Starzyńskiego i Wiktora Stephana. Głównym kierownikiem biura jest p. Marceli Łączkowski, fachowo wykształcony leśnik-technik.

Staraniem tego biura stanęła w miniaturze wzorowa remiza polna dla hodowli i ochrony zajęcy, bażantów i kuropatw. W remizie i w okół niej, zasadzono wszelkie rośliny i krzewy pastewne dla zwierzyny, a po za nią wystawiono na małej łączce kolekcję różnych przyborów hodowlano-łowieczkich. Przedstawiono tu więc w poglądowy sposób polowanie na drapieżne ptactwo przy pomocy pułchacza, oraz różne gatunki sieci, pułapek, żelaz, skrzyń do transportowania żywej zwierzyny, wreszcie zademonstrowano sposób polowania na króliki przy pomocy łasiczki (fretki).

Warszawski Oddział Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myśliwstwa, instytucja bardzo poważna, mająca za sobą 22 lat nader owocnej pracy, wystąpiła w pawilonie, w sposób godny tradycji, jaką się zasłużenie chlubi.

W wystawie swej uwzględniło Towarzystwo przede wszystkim stronę teoretyczną łowiectwa, uważając słusznie trofea poniekąd za ostatni owoc polowania, lecz nie za główny cel. To też treścią wystawy są przede wszystkim 2 tablice, z których jedna wykazuje działalność Towarzystwa od roku 1889 do 1911 i podaje krótki zarys jego historii, a druga unaczynia graficznie stan i fluktuację zwierzostanów, oraz nagród wypłaconych za zwalczanie kłusownictwa.

Oba te wykazy są dziełem mecenasa Bronisława Wysokiego, który jako członek i doradca prawny tej instytucji — stał się jej duszą i sercem, poświęcając niemało swej wiedzy i prawdziwie benedyktyńskiej pracowitości — około jej rozwoju.

Niezmiernie pouczające, również z wielkim nakładem pracy zestawione są tablice synoptyczne Jana Sztolcmana, kustosa muzeum im. Branickich („Frascati“) znanego i zasłużonego przyrodnika, myśliwego i podróżnika do Afryki, służące do oznaczania ptaków drapieżnych i krukowatych.

Patrząc na te tablice łatwo zrozumieć, że instytucja, która rozporządza tak wybitnymi i ofiarnymi siłami, musi się znakomicie rozwijać — a spełniając zadanie mniej więcej w tym samym zakresie działania co gal. Tow. Łowieckie, przynosi ga-

łęzi gospodarstwa krajowego, jaką jest niewątpliwie myśliwstwo, zbawienne owoce.

Uznała to i oceniła jury wystawy, przyznając temu Towarzystwu wielki medal złoty.

Józef Białynia Chołodecki.

Ruch w kółkach przyrodniczych.

Przy sposobności wystawy prac uczniowskich z zakresu przyrządów do nauki fizyki, jaka odbyła się staraniem prof. K. Golczewskiego w filii gimnazjum VII we Lwowie w dniu 16. marca br. zaprezentowało również i kółko przyrodnicze tegoż gimnazjum szereg preparatów przyrodniczych, wykonanych pod kierownictwem prof. Ludwika Koerbera przez członków kółka. Zajęcie uczniów ćwiczeniami, będącymi rodzajem slójdu, musi obudzić w nich, pomijając nabytek zręczności, zamiłowanie do przyrody przez bliższą obserwację jej tworów różnorodnych tem bardziej, iż większość okazów hodowana przez uczniów, nastrocza sposobność do spostrzeżeń biologicznych. Okazy te w swoim czasie umiejętnie pozbawione życia przez nauczyciela bez dręczenia, dostarczają uczniom materiału do badań morfologicznych, a preparaty przechodzą na własność zakładu, i ten bogaci w ten sposób swe zbiory przedmiotami prawdziwej wartości naukowej.

Z naszego stanowiska, jak najgoręcej musimy zalecić tego rodzaju ćwiczenia laboratoryjne w zakresie zoologii, gdyż badania fizjologiczne na okazach żywych dla młodzieży szkół średnich, są wykluczone, a anatomia mikroskopowa dopiero na wyższym stopniu nauki przynieść może korzyść w porównaniu z nakładem czasu i pracy.

Ponieważ sprawa ćwiczeń laboratoryjnych jest aktualną, otwieramy chętnie łamy naszego czasopisma dla dyskusyj w tym kierunku.

Olga Bielińska.

SOWY.

W srebrno-czarnych szat ostonie
Idzie słodka noc królewna ;
Jasne oczy, jasne skronie,
Cicha, senna i powiewna.

Czasem mąci leśną ciszę
I wywabia tworów krocie,
Czule, słodko to kołysze
W księżycowem, sennem złocie.

Rozpoczyna tan ochoczy,
Tajemnicze budzi echa...
W dziupłach widać sowie oczy,
Gdyż noc czarna ich uciecha.

One lubią ciemne gaje
W blasku gwiazdnym i miesiąca,
Dla nich nocne mgły, ruczaje,
I wiklina biedna, drżaca.

Urodzone z nocną ciszą,
W zakamarkach dziupeł wąskich,
Wichry jeno ich kołyszą,
Gdy żerują w bagnach grzązkich.

Ich to ślepi promień, słońce,
Przerażają słodkie śpiewy,
I nie dla nich są tęskniące,
Przedwiosenne, cudne, wiewy.

Nie jest dla nich wonna łąka,
Z kielichami gwiazd złócieni...
Sowa cicho w noc się błąka,
Pośród przymglei i promieni.

Sowie skrzydła, miękkie puchy
Prują powietrze bezgłośnie ;
Niby bure, strachy, duchy
Na żer lecą tak radośnie.

Biedne ptaki, syny nocy!
Wy nie znacie co to wiosny
Ożywcze słońca pramoce,
Kwietne łąki, hymn miłosny.

Szумы borów, rozpadliny,
Mroczne knieje, zamek stary,
Pustki straszne, mur ruiny,
Oto wasze nocne czary.

Dr. W. Szafer.

O ochronie ptaków leśnych w Bawarji.

(Artykuł „Sylwana“).

Nieodłączną już stała się w Niemczech sprawa ochrony ptaków pożytecznych od nazwiska H. v. Berlepscha, który długą, parę dziesiątków lat trwającą pracą, stworzył doświadczalne podwaliny dla racjonalnej ochrony ptaków. We wsi Seebach, w swym starym zamku rodzinnym, stworzył ten opiekun i miłośnik ptactwa jedyną w swoim rodzaju kolonię ptasią. Obszerny park zamkowy, 15 ha zarośli śródpolnych, oraz 100 ha lasu, tworzą ten obszar służący celom ochrony ptaków. Rezultaty, które Berlepsch na tym obszarze osiągnął, są wprost zdumiewające. Wystarczy wspomnieć, że w r. 1906 gnieździło się w jego parku, na obszarze 15 ha, 470 ptaków, należących do różnych gatunków. Ta rzesza ptasia utrzymuje park i sad zamkowy w zupełnem bezpieczeństwie od groźby niszczenia drzew przez owady-szkodniki.

Ażeby rezultaty pracy jednostki mogły się stać dla ogółu wzorem, uznał rząd Seebach za stację wzorową, państwowo-upoważnioną i urzęda tutaj rok rocznie praktyczne kursy w zakresie ochrony ptactwa pożytecznego, prowadzone pod kierownictwem fachowego ornitologa. Nie dziw, że w takich warunkach stał się Seebach miejscem skąd „system“ Berlepscha rozszerza się po całych Niemczech, stając się wszędzie wzorem do naśladowania.

Najdalej w kierunku ochrony ptactwa zaszła wzorując się na systemie Berlepscha, Bawarja, która, jako jedyny dziś kraj

w Europie, usiłuje „z pomocą wszystkich władz i wszystkich kół interesowanych przeprowadzić organizację ochrony ptactwa pożytecznego r z e c z y w i ś c i e w c a ł y m k r a j u«. Już nie tylko pojedyncze miejscowości, w których znajduje się jednostka z dobrą wolą działająca dla sprawy, lecz cały kraj ma wziąć udział w organizowaniu się dla przeprowadzenia skutecznej ochrony ptaków. „Cała Bawaria ma możliwie rychło pokryć się siecią stacji ochronnych, lasy i pola mają być zaopatrzone w stosowną ilość gniazd sztucznych, a w zimie mają dostarczyć ptactwu wystarczającej ilości pożywienia. Równocześnie będzie prowadzona intensywne prace nad uświadamianiem ludności, zarówno miast jak i wsi o ważności podejmowanych usiłowań“.

Wprawdzie już od dawna istniały w wielu miastach Bawarii towarzystwa, mające za cel ochronę ptactwa pożytecznego, jednak w nowej organizacji ochrony ptaków w słuszny sposób uznano tego rodzaju instytucje za niewystarczające. „Prawdziwie doniosłe rezultaty można osiągnąć wyłącznie tylko na drodze organizacji państwowej, bo tylko taka organizacja ma dość powagi i dość organów wykonawczych, by jedną metodą przeprowadzić prace ochronne“. Na skutek takiego ujęcia sprawy obradowano w ministerstwie spraw wewnętrznych w r. 1909 nad taką właśnie organizacją i w rezultacie powołano do życia najwyższą instancję w sprawach dotyczących ochrony ptactwa pożytecznego w Bawarii, t. zw. komisję państwową upoważnioną dla ochrony ptaków.

Stwarzając centralne ciało dla przeprowadzenia w całym kraju organizacji i ochrony pożytecznego ptactwa, pozostawiono przecież miejscowym kołom daleko idącą możliwość samodzielnego działania, ograniczając w wielu razach działalność centralnej komisji do czuwania nad tem tylko, by prace podejmowane przeprowadzano jedną metodą, t. zn. metodą Berlepscha. Podjęto pracę odrazu na całym obszarze Bawarii. Stąd wynikły wielkie koszty, które tylko w części znajdują pokrycie w funduszu przyznanym Komisji przez skarb państwa. Główne dochody zyskano z loterii na ten cel urządzonej, oraz z bardzo licznych wsparć przez miasta, gminy wiejskie, różne towarzystwa, oraz jednostki, które rozumieją korzyści praktyczne, jakie osiągnie kraj cały przez urzeczywistnioną ochronę ptaków pożytecznych.

Rezultat już 1½ rocznej, tak zorganizowanej, pracy Komisji państwowej był wprost imponujący, 60 zagajników ochronnych typu Berlepscha, ponad 20.000 sztucznych gniazd, ogromna ilość racjonalnie założonych skrzynek z pożywieniem w porze zimowej, wciągnięcie do pracy prawie wszystkich zarządów leśnych, rozrzucenie setek tysięcy broszur uświadamiających w znaczeniu podejmowanych prac, 32 urzędników miejskich i prywatnych ze skończonymi kursami w Seebach — oto szereg realnych skutków tej pracy. Prócz tego, w przeciągu tego krótkiego czasu, założyła Komisja trzy stałe ornitologiczne stacje obserwacyjne, które połączone są ze wzorowymi stacjami ochrony ptaków w Bamberg, Kelheim i Forst-Königsbach. Dodać trzeba, że o zaszczyt, który otrzymały trzy powyższe miejscowości, ubiegało się 2500 innych miejscowości, które posiadały konkursowo wymagane warunki. Do tych trzech wzorowych stacji przybywa, jako bardzo ważny punkt akademii ziemiańska pod Freising, która ochronę ptaków wprowadziła w program swych wykładów i urzęda dla swych uczniów w tym dziale praktyczne kursa, prowadzone przez siły fachowe. Wreszcie zasługuje na wzmiankę, że z leśnych dóbr państwowych wyznaczono w miejscowości Fischstein kompleks leśny o 1700 ha, który służyć ma wyłącznie badaniom metod ochrony ptaków leśnych.

Ogromną wydatność pracy przypisać należy zarówno świetnej organizacji Komisji centralnej i kół miejscowych, jak również wysokiemu poziomowi kultury ludności Bawarii, rozumiejącej i wspierającej akcję rządowej Komisji.

Już w r. 1902 na zjeździe paryskim powzięto międzynarodowe uchwały dla ochrony ptaków pożytecznych w Europie, które podpisały: Belgia, Niemcy, Francja, Grecja, Lichtenstein, Luksemburg, Monaco, Austro-Węgry, Portugalia, Szwecja, Szwajcaria i Hiszpania. Na kongresie ornitologicznym w roku 1910 utworzono dla tegoż celu międzynarodową komisję, w skład której weszły reprezentanci 13 państw. Do tych zamiarów międzynarodowego załatwienia sprawy ochrony pożytecznego ptactwa — które, dodać trzeba, praktycznych rezultatów mało osiągnęły — przybył od lat 2 ważny bardzo, choć terytorjalnie ograniczony czynnik, mianowicie ogólnoniemiecki zjazd dla ochrony ptaków („Der allgemeine deutsche Vogelschutztag“). W dwu zjazdach, które odbyły się

w Charlottenburgu i w Sztuttgarcie, stało się widocznem przodnictwem instytucji bawarskich. Wzory bawarskiej ochrony ptaków pożytecznych są dziś popularnymi w całych Niemczech.

Oby imponujący ruch na polu ochrony ptactwa pożytecznego, którego ośrodkiem jest dziś Bawarja, stał się dla nas przykładem do naśladowania!

Walne Zgromadzenie.

Stanisławowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt.

Stanisławowskie Towarzystwo jest po lwowskiem najczynniejszym i najliczniejszym.

Członków czynnych posiada 445.

W sali rysunkowej Seminarjum naucz. męskiego odbyło się Walne Zgromadzenie dnia 23. lutego.

Obecnych było 46 członków. Zagaił prezes p. Gołębiowski, następnie po sprawozdaniu z czynności Wydziału i rachunków odczytał p. Schayer artykuł p. t. „Poradnik“, w jaki sposób chronić zwierzęta.

Po udzieleniu absolutorjum Wydziałowi wybrano nowy Wydział, który się w następujący sposób ukonstytuował.

Prezes radca Ludwik Eiselt, zast. p. Ernestyna Domiczkowa, sekretarz p. Jakób Silberbach, skarbnik p. Ferd. Wiszniewski, wydziałowi pp. Henryk Rauch, Emil Schayer i Jan Lis, ponadto kooptowani pp. Marja Gelitowiczowa, Jul. Stachy Jan Gołębiowski, Józef Rücker, Benj. Hausman, Marcin Kuczer, Ludw. Ziesch, Wład. Kawecki, Ant. Misiński, Bol. Bodnaruk, Maur. Goldstein, Oskar Domiczek i Ferd. Ott.

Do komisji lustracyjnej weszli pp. Karol Hiolski, Hel. Mauerówna i Mich. Zielińska.

Postawiono następujące wnioski: p. Niementowski o krowach pędzonych kilka mil na jarmark podczas gołoledzi.

p. Jubel w sprawie handlarzy nie dających spoczynku i pożywienia odpowiedniego koniom.

p. Bogusz w sprawie dręczonych koni podczas wywozu drzewa z kolejowego składu opału.

p. Degenstück w sprawie przeładowania wozów ciężarowych, (mają być 2 dyszle, a nie jeden ujednokonych wozów).

Tenże postawił jeszcze jeden pawilonik dla ptaszków przy ul. Lipowej blisko parku.

p. Schayer wniósł aby postarać się o przedstawienia w kinoteatrach unaoczniające dręczenie zwierząt i pomoc oraz ratunek przez członków Towarzystw ochrony zwierząt.

p. Eiselt proponował wyrazić podziękowanie p. dyr. Nittmanowi za udzielenie sali, dalej urzędnikom Magistratów tak Stanisławowa jak i Knihinina.

Zawiadomiono, że Wydział uchwalił p. Adolfa Mussila ze Lwowa zamianować członkiem honorowym Towarzystwa.

Aleksander Przerowa Uleniecki.

W obronie wrony.

(Dokończenie).

Te fakta podali mi ludzie inteligentni (nie chłopci) pilnujący lasu, mający szkoły lasowe i fachowo w swym zawodzie wykształceni, zatem na ich obserwacji i zdaniu można polegać zwłaszcza, iż mając ciągle styczność z przyrodą fakta te stwierdzili niejednokrotnie.

Oto tyle co mogę podać na obronę wrony. A teraz na końcu chciałbym poruszyć sposób tępienia wrony.

Bicie wron przez młodzież szkolną z flobertów śrutówek, i karabinków po parkanach, drzewach przydrożnych, ogrodach, sadach, jak to ma miejsce na prowincji (nie mówię tu wcale o Lwowie, Krakowie) powinno być bezwarunkowo zabronione, a to z powodu, iż chłopak polując ze swego podwórza na wronę siedzącą na parkanie lub drzewie przydrożnem, może łatwo stać się przyczyną ludzkiego nieszczęścia; jak też i z tego powodu, co nie da się zaprzeczyć, że wyrabia się u chłopców pewien rodzaj zdziczenia w jego młodej duszy, czego się powinno unikać.

Nie można jednak tego zdania brać w tem znaczeniu, iżbym był przeciwnikiem, by chłopcu w wieku starszym, szkolnym nie dawać broni do ręki. Daj Boże, by nasza młodzież

pod kierownictwem nauczycieli fachowych zaprawiała się w używaniu broni i by lepiej nią władała wyszedłszy ze szkół średnich niż kijem bilardowym. Używanie broni w wieku młodym hartuje oko i wyrabia w młodym umyśle wielką pewność siebie, śmiałość, otwartość, podczas gdy kawiarnia i bilard tylko chwiejność umysłu i arogancję.

Jednak bicie wróbli, wron przez młodzież, należy potępić nietylko z punktu ochrony ptactwa, lecz w ogóle z punktu pedagogicznego. Bo jaką minę zrobi gorliwy członek lub proktorka rodu ptasiego, gdy zwróci uwagę strzelającemu wróble, sroki, wrony chłopcu, iż do ptaszków strzelać nie wolno, a w zamian dostanie odpowiedź chłopaka, co panu (i) do tego, wróbla, wronę bić wolno“.

Chciałbym widzieć tę minę. Ale jeśli ktoś ze starszych nakręci ucho młodemu Nemrodowi grożąc doniesieniem do władzy szkolnej, iż polując na wróble, na wronę, może łatwo kogoś postrzelić, to taka uwaga raz na zawsze poskutkuje.

Strzelanie do wron należy bezwarunkowo pozostawić osobom do tego powołanym t. j. leśniczym, myśliwym i właścicielom rolnym. A ci wiedząc w jaki sposób mają się do tego zabrać, z pewnością nie będą dawali ze siebie widowiska, uganiając się po drogach itp. miejscach uczęszczanych przez ludzi, za kilkoma wronami.

Celem mego artykułu było poruszenie w ogóle nieodpowiedniego postanowienia ustawy o wyjęciu wrony, tak samo jak i bociana z pod ochrony. Ustawy tej zmienić nie zdołam, gdyby jednak wronę zaczęto choćby tylko tolerować, w dobrze zrozumianym interesie, to cel artykułu już byłby osiągnięty, tem samem i zmiany ustawy nie byłoby potrzeba.

Żałuję bardzo, iż nie mogę tu poruszyć zarazem sprawy ochrony bociana. Brak mi bowiem jeszcze kilku fachowych zdań, których oczekuję w odpowiedzi na rozesłane listy, a na których mi wiele zależy, lecz sądzę, iż w następnym numerze będę w możności artykuł powyższy umieścić.

Zarazem zwracam się z uprzejmą prośbą do Szanownych PP. obywateli myśliwych, agronomów i leśników, aby cenne swe uwagi o bocianie lub o wronie raczyli, nadesłać do Redakcji, a ja po odebraniu większej ilości zdań, co do pożyteczności lub szkodliwości bociana, będę w możności sprawę ochrony tego ptaka przedstawić i wyświecić.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta

w podaniach, życiorysach, i pamiątnikach.

(Ciąg dalszy).

Rzecz oczywista, że i pies nie był z pod ogólnego prawa wyłączony i musiał stawać przed sądem, musiał wysłuchać wyroku z pokorą i ponieść karę, jeżeli wina została mu dowiedziona, a obrońca prawny nie zdołał wzbudzić w sądach litości. Przyznać jednak trzeba, że psy, czy dlatego, że rzadko dopuszczały się „zbrodni“, czy dlatego, że osłaniała je protekcja ich panów, daleko rzadziej niż inne zwierzęta pozowane były przed sąd. Nadto los ich był także pod innym względem znośniejszy niż innych zwierząt domowych: życie ich zostawało pod opieką osobnych praw, na co zresztą zasługiwały skoro strzedz i bronić miały dobytku swego pana, skoro dzieliły z nim niebezpieczeństwa wojny, dopomagały mu do wysłедzenia rozpierzchniętych po lasach wrogów, jakoteż do zabezpieczania się od dzikich zwierząt. Za zabicie cudzego psa ustanowione były bardzo surowe kary, a u niektórych ludów nie tylko surowe, lecz nawet obrzydliwe, wskutek czego psy, byle tylko dopełniały sumiennie swojej powinności, mogły dość znośny wieść żywot.

U nas procesy zwierzęce nigdy nie istniały. Podczas gdy we Francji za Ludwika IX. w trzynastym wieku, odbywał się uroczyste akt powieszenia prosięcia za zabicie dziecka a w Austrii jeszcze w XVIII. wieku skazał sąd pewnego psa na więzienie, w Polsce odpowiedzialność za wykroczenie zwierzęcia ciążyła zawsze tylko na właścicielu i on był obowiązany nagrodzić wszelką szkodę jakąby zwierzę zrządziło. Nikomu nigdy ani na myśl nie przyszło pozwać bezrozumne zwierzę przed sąd, a nawet zachodzi pytanie, czy w którejkolwiek epoce byłby się u nas znalazł taki człowiek, co by nie wstydział się w sądzie takim zasiadać. Artykuł XIV, rozdziału XII. statutu litewskiego stanowił: „Gdyby u kogo pies albo bydlę szkodę w okolicy czyniło i gospodarz czyli pan o tem niewiedział, a takiego bydlęcia lub psa niestrzegł lub nie przywiązał, za wszystkie szkody odpowie. Jeżeliby bydlę jakie człowieka raniło, obrażonemu ma być ono wydane jako wynagrodzenie. Ktoby

miał konia który wierzga, powinien mu dzwonek przywiesić, aby nikt na tego konia nie najeżdżał". Podobnież prawa nasze nie stanowiły nigdy żadnych osobliwych a tem mniej poniżających godność człowieka kar za zabicie cudzego psa, lecz tylko pieniężne, jak za wyrządzenie wszelkiej innej szkody, chociaż naddziadowie nasi nie mniej jak inne ludy cenili psy i przywiązywali się do nich, jak do najwierniejszych domowników.

W średnich wiekach była w Niemczech w używaniu kara zelżywa noszenia psów, das Hundetragen, na którą skazywano burzycieli pokoju publicznego a najpospoliciej tych, którzy zbuntowali się przeciwko władzy cesarskiej. Kara ta polegała na tem, że skazani na nią musieli nieść psy na ramionach do miejsca w wyroku oznaczonego a odległego o milę lub nawet parę mil. Historia podaje wiele przykładów wymierzenia zelżywej kary. Do głośniejszych należą dwa następujące: Cesarz Otto I. Wielki skazał na tę karę w r. 937, książąt frankońskich, którzy zbuntowali się przeciw niemu. Głowie ich, księciu Eberhardowi, który ojca Ottonowego Henryka osadził był na tronie, kazano wprawdzie tylko dostarczyć za karę pewną ilość koni wojskowych, lecz wszyscy jego stronnicy musieli psy nosić. Cesarz Fryderyk I. Rudobrody w r. 1156. na sejmie w Wormacji skazał arcybiskupa mogunckiego Arnolda i wojewodę reńskiego Hermanna z dziesięciu hrabiami, za toczenie ze sobą krwawych wojen i pustoszenie kraju na poniesienie psów o milę. Arcybiskupa uwolniono od kary ze względu na jego wiek i godność, ale wojewoda i hrabiowie musieli się jej poddać.

Ludwik święty, król francuski (1226—1270) okazywał przez całe życie synowską uległość matce swojej królowej Blance i troskliwie wystrzegał się wszystkiego, coby ją mogło obrazić. Nie było to rzeczą łatwą, bo stara królowa, cheiwa władzy, nawykła do panowania, pragnąca wywierać nieograniczony wpływ na umysł króla, ścieśniała wolność jego nawet w stosunkach familijnych. Ludwik kochał zcną małżonkę swoją Małgorzatę księżniczkę prowancką, z którą miał dziesięcioro dzieci, ona kochała go nawzajem. Matka zaś, lękając się, żeby synowa z czasem nie zawojowała męża, nie pozwalała mu obcować z nią swobodnie i chciała być obecną każdej ich rozmowie, szpiegowała ich, podsłuchiwała. Król i królowa mieli przywiązanych dworzan, którzy usiłowali ułatwiać królestwu schadzkę

i zdawaćby się mogło, że w obszernym zamku królewskim dałoby się to łatwo urządzić. Ale gdzietam. Czujność starej królowej udaremniała wszelkie zabiegi dworzan. Król na palcach skradać się musiał do pokoju małżonki, ale i to na nic się nie przydało. Blanka zrywała się na najłżejszy szelest, domyślając się, że to Ludwik idzie do żony, zaraz wybiegała ze swego pokoju. Dworzanie chwycili się w końcu szczególnego sposobu zatajenia przed starą królową odgłosu kroków Ludwika. Gdy szedł do małżonki swojej, smagali psy a wycie ich zagłuszało jego kroki o tyle, że Blanka ich nie słyszała. Biedne psiska! bólem swoim okupowały chwile słodkiej rozmowy Św. Ludwika z żoną.

Aubry Montdidier, dworzanin Karola V. króla francuskiego, poróżnił się z innym dworzaninem nazwiskiem Maccaire. Ten rozjątrzył się do tego stopnia, że postanowił zamordować Montdidiera. Czatował więc na niego w lesie Bondy, przez który tenże musiał przejeżdżać, napadł na niego zdradziecko, zamordował go sztyletem i trupa pogrzebał.

Aubry Montdidier nie byłby doznał tego smutnego losu, gdyby był miał przy sobie swego psa, sławnego z odwagi i siły Montargisa, ale niestety, wysłał go naprzód dla uwiadomienia małżonki o blizkim swoim powrocie. Pies ten był do niego niezmiernie przywiązany a nawet już raz uratował mu życie. Gdy bowiem Montdidier spadł z konia do wody, Montargis go wyciągnął acz z niestęchanem wszystkich sił wytężeniem.

Przybycie Montargisa do domu ucieszyło małżonkę Montdidiera, bo zapowiadało jej, że mąż lada chwila nadjedzie. Montargis jednak był jakiś nie swój, niecierpliwił się, a po kilku godzinach coraz większą okazywał niespokojność i nareszcie, chociaż domownicy chcieli go koniecznie zatrzymać, wymknął się z domu i popędził do lasu, gdzie jednak mógł stanąć zaledwie o północy. Wiedziony już to węchem, już tęsknotą za panem, wynalazł wkrótce jego grób. Rozgrzebał ziemię i zawył smutnym jękiem, poczem położył się na grobie i leżał długo, aż nareszcie głód dotkliwy zmusił go do szukania pożywienia.

Wycieńczony do najwyższego stopnia, przywłókł się z trudnością do pewnego rycerza nazwiskiem Ardillere, u którego Montdidier bywał częstym gościem, żyjąc z nim w ści-

stej przyjaźni. Powitano go uprzejmie, głaskano, pieszczono, karmiono, ale niczem nie dał się nakłonić do pozostania. Smutne wejrzenie psa, nadzwyczajne jego wycieńczenie i częste skowyczenie a do tego nagle zniknięcie Montdidiera, wszystko to wznieciło podejrzenie w Ardillerze. Puściwszy psa wolno, szedł za nim z daleka. Ale któż opisze jakie ogarnęło go zdumienie, gdy za przybyciem do lasu Montargirs rzucił się na rozgrzebaną ziemię i zawył przeraźliwie. Ardillere sprowadził kilku przyjaciół, wzięto się do kopania i znaleziono zwłoki, w których, choć były skrwawione i oszpeczone ranami, poznano natychmiast Montdidiera. Ardillere przywiózł zwłoki do Paryża i oddał przyjacielowi ostatnią posługę.

Smutny koniec Montdidiera stał się wkrótce powszechnie wiadomym, ale nie mało czasu minęło, a złoczyńcę nie zdołano wyśledzić. Maccaire sądził może, że zbrodnia się mu upiecze, ale raz gdy jechał konno jedną z ulic Paryża, przy której właśnie mieszkał Ardillere, Montargis, który od pogrzebu swojego pana nie opuszczał jego przyjaciela, rzucił się nagle na Maccaira i gdyby nie spieszna pomoc, byłby go rozszarpał. Dziwne to zachowanie się psa i jego nadzwyczajne rozjątrzenie, rzuciło podejrzenie na Maccaira. W całym mieście pożyczano go prawie napewno za mordercę Montdidiera. Rzecz doniosła się do dworu i król Karol V. nazwany Mądrym, przywoławszy posądzonego, nakłaniał go, że by dobrowolnie przyznał się do winy, gdy zaś to nie miało skutku, zdał sprawę na Sądy Boże i rozkazał Maccairovi żeby się stawił w oznaczonym miejscu, dla stoczenia pojedynku z psem rycerza Aubry Montdidier.

Nieprzeliczony tłum ludu, zwabiony osobliwością widowiska, stawił się na placu. Obadwaj zapaśnicy wystąpili w szranki. Maccaire uzbrojony w grubą pałkę i tarczę, pies w beczce bez dna, która miała mu służyć za schronisko w razie klęski. Gdy psa wypuszczono, rzucił się zaraz na przeciwnika, ale ugodzony silnie w nogę, wnet odskoczył na kilka kroków. Wkrótce ponowił napad z podwójną wściekłością. Maccaire podnosi pałkę po raz drugi aby mu zgruchotać głowę, lecz pies uniknął zręcznie śmiertelnego ciosu: złudził przeciwnika odskoczeniem w bok, a wnet schwycił go naprzód za podniesioną rękę a potem za gardło i to tak

zajadle, że byłby go z pewnością zagryzł, gdyby ich nie rozdzielono. Maccaire zmieszany nie śmiał dłużej wypierać się zbrodni i zginął nazajutrz z ręki kata, jako skrytobójca. Nazwisko jego stało się we Francji typową nazwą hultaja, podczas gdy pies Montargis jest dotąd z uwielbieniem wspomniany, jako jeden z najpiękniejszych przykładów zmyślności psów i przywiązania ich do swoich panów.

(C. d. n.).

Przystąpili do Towarzystwa: Zarząd szkoły lud. Spas, Zarząd szkoły lud. Koble p. Stary Sambor, Rada szkolna miejscowa Łopuszanka chomina, Zarząd szkoły lud. Pysowice p. Strzyłki, p. Emil Turasiewicz Lwów.

Kalendarzyk łowiecki. W kwietniu wolno polować na głuszce i cietrzewie, na ptactwo błotne i wodne tylko do 15. kwietnia i tę tylko zwierzynę wolno sprzedawać.

DLA MŁODSZYCH.

Dodatek do Miesięcznika Galic. Tow. ochr. zwierząt Nr. 3. i 4. z r. 1913.

Marja Mazurkówna.

W kwietniu.

Ciepłem owiane,
Tęsknotą gnane,
Wracają z za morza ptaki,

W promieniach słońca,
Lecą bez końca,
Jak cudne miłowań znaki.

Ku starym gniazdom,
Niby ku gwiazdom,
W radośnych płyną gromadach —

Każdy ku swemu
Domku, skrytemu
W rozkwitłych, różowych sadach.

Jak dobrze znają
I pamiętają
Miejsca gdzie szczęście przeżyły!

Kwietniową nocą,
Skrzydła łopocą
Tych, co z podróży przybyły.

W ciche wieczory,
W ojczyste bory,
Płyną ptaszęce rodziny —

Płyną strudzone,
Drogą znużone,
Na odpoczynku godziny.

W kwietniowe ranki,
Jak w cudne wianki,
Wiją modlitwę swej pieśni —

Że męka wszelka,
Tęsknica wielka,
W nowem znów szczęściu się prześni!

Józef Białynia Chołodecki.

Macierzyńska miłość kangurów.

Mało kiedy zdarzy się sposobność do obserwowania rodzinnego życia kangurów, stworzenia te bowiem, o ile przychodzą stosunkowo dość często w naszych zwierzyńcach, w niewoli się nie rozmnażają. Tymczasem udało się przecież hodowla tych niezwykłych torbaczy, w farmie w Essex i osiągnięto z wychowaniem małych kangurów nader pomyślne wyniki.

Dwaj ongi australscy myśliwi, zebrali stadko około trzydziestu zwierząt, którym dostarczono w Anglii możliwie najlepszych warunków egzystencji. Pięć samic zostało matkami, a z małych wyrosły cztery okazy.

Przy tej sposobności można było obserwować ten serdeczny stosunek, jaki panował między matką a dziecięciem. Przed widzem roztaczał się powabny obszar macierzyńskiej czułości.

Kanguru nosi, jak wiadomo, swe młode w torbie na brzuchu, gdzie też chronią się igrające młode, przy każdym najmniejszym niebezpieczeństwie. W krytycznej chwili szukają nawet większe okazy w worku starej ratunku, a matka nie wzbrania im ochrony nawet wobec niebezpieczeństwa dla własnego życia. Samica kanguru staje się formalnie bohaterką gdy się rozchodzi o obronę młodych.

Z licznych opowieści australskich strzelców wyróżnia się wypadek, w którym towarzystwo jeźdźców natknęło na gromadę kangurów, pomimo niezwykłej czujności starych samców, stojących ustawicznie na straży.

W dzikiej pogoni pędziła gromada po gąszczach australskich krzewów, a najstarsze między małemi skakały za matkami. W tem pozostało małe ośmiomiesięczne zwierzątko, za ledwie odłączone od piersi, po za trzodą, a odległość między niem a pościgiem z każdą małała chwilą.

Matka, trapiąca wyrzutami sumienia opuściła stado, zwróciła się i ofiarowała swą torbę małemu. Za wielkiem widocznie było już jednak stworzonko, gdy przy swej korpulencji, z niezwykłym tylko wysiłkiem mogło dostać się do wnętrza kryjówki.

To wywołało zwłokę. W gwałtownych skokach podążyła matka za gromadą, lecz nie mogła jej dopędzić, utrudzona ciężarem dziecięcia. Coraz to mniejszemi były jej skoki, co raz to słabszemi były jej ruchy, a w biednem stworzeniu rozgrywała się walka między miłością macierzyńską, a zmysłem samozachowawczym. Po kilku przebieżonych żmudnie kilometrach, siadła samica na tylnych łapach, wyciągnęła się i ścisnęła tak muszkuły swego brzucha, iż młode musiało wysunąć się z torby. Pełna radości z powodu doznanej ulgi dała znów kilka potężnych susów, nie troszcząc się o los swego potomka. W krótcie jednak obudził się na nowo instykt macierzyńskiej miłości. Zwierzę zwróciło się, podbiegło do małego i stanęło odważnie przed niem, aby je bronić przeciw nadbiegającym psom i jeźdźcom.

Wzruszeni tak bohaterskim dowodem macierzyńskiej miłości, odwołali myśliwi psy, skierowali je na inną ścieżkę i darowali życie matce i dziecięciu.

Józef Białynia Chołodecki.

O wyścigach koni.

„New-Yorska gazeta handlowa“ umieściła w swym numerze z 2 listopada 1912 zajmujący artykuł p. t. „Milicja przeciw wyścigom koni“. Jak wiadomo są wyścigi koni zniesione w wszystkich prawie państwach Ameryki.

W ostatnich czasach zakończył swój żywot ten sport także w stanie Indiana — a zakończył go przy pomocy państwowej

milicji. Gdy władze miejscowe ociągały się z przeprowadzeniem nowej ustawy przeciw wyścigom koni, i wbrew zakazowi gubernatora przygotowywano nowy meeting, pominął gubernator sheriffa i innych opornych urzędników i wysłał dwie kompanie milicji, aby z bagnetami w dłoni wyparły z placu obecnych, w pierwszej linii jockeyów, urzędników i inne interesujące się sportem osoby. Następnie rozbiła milicja na placu wyścigowym obóz, i na tem skończyły się wyścigi.

Jak widzimy wyplenia Ameryka ten sport z korzeniem, u nas opiera się on na twierdzeniu, że jest niezbędnym dla poprawy rasy końskiej.

W Austro-Węgrzech kwitną wyścigi w całej pełni, a jak podaje wiedeńska „Allg. Sportzeitung“, z 61 stad pochodzą konie, które w r. 1912 wygrały powyżej 10.000 koron. Na czele tej listy znajduje się br. Baltazzi z kwotą 577.000 koron wygraną przez 62 koni. Dalsze miejsca zajmują: bar. G. Springer, Bela v. Fay, A. Dreher, bar. Z. Uschritz. Trzydzieste miejsce w tej liście zajmuje nasze galicyjskie stado Ostoja-Ostaszewskiego z kwotą 55.537 koron, wygraną przez 12 koni, przed bar. Alfr. Rotschildem, hr. Palffy, E. Blaskowiczem, hr. Esterhazym, hr. Zichy, hr. Trautmansdorfem i innymi. Tabela z ostatnich pięciu lat wykazuje już tylko 37 hodowców, których konie wygrały powyżej 40.000 koron; między nimi niezłe miejsce zajmuje znów stado Ostoja-Ostaszewskiego z kwotą 184.000 koron. Ogólne zestawienie wygranych z ostatnich 15 lat daje olbrzymie cyfry. Konie A. Baltazziego wygrały 6,300.699 kor., bar. Springera 4,315.594 kor., Bela v. Fay 3,792.150 kor. Blaskowitz, posiadający w swem stadzie klacz, pochodzącą od sławnej Kinscem, znajduje się na dziesiątym miejscu z wygraną 1,725.733 kor. Stado Ostoja-Ostaszewskiego wygrało, jak na nasze stosunki, pokaźną kwotę 416.411 koron.

Miscellanea.

Wykryci przez psa policyjnego. Pod zarzutem udziału w napadzie bandyckim na tramwaj elektryczny pod Łodzią aresztowano koło Rogowa dwóch podejrzanych włóczęgów,

obu karanych już za bandytyzm. Jeden był Mojsiak drugi Zarycki. Zaprzeczali oni stanowczo udziału w zbrodni, lecz płątali się w zeznaniach; postanowiono zatem zbadać sprawę przy pomocy psa policyjnego. Psu dano do obwąchania torbę zabitego konduktora, dalej maskę płócienną czarną, jakiej używał jeden z bandytów, poczem na podwórzu więziennem ustawiono wszystkich więźniów, zakutyh w kajdany, wśród nich Mojsiaka i Zaryckiego. Pies obwąchał wszystkich, następnie rzucił się na tych bandytów, warcząc i grożąc im zębami. Psa wyprowadzono, więźniów rozkuto i rozmieszczono w różnych stronach podwórza; pies znów rozpoznał z wprowadzeniem obu bandytów. Rozdzielono wtedy aresztantów na dwie grupy — i tutaj rozpoznanie nastąpiło odrazu. Wreszcie zrobiono ostatnią próbę: włożono na jednego z aresztantów odzienie Mojsiaka. Puszczonego pies nie ruszył wszakże przebranego, lecz rzucił się na Mojsiaka. Wobec tego obu bandytów zatrzymano w więzieniu.

Orły przeciw aeroplanom. O ciekawych próbach wojskowych lotników francuskich donosi francuskie wojskowe czasopismo „Armée Moderne“. Lotnicy ci wychodzą z założenia, że jeżeli kula nie może dosięgnąć samolotu, to będą to mogły robić orły. I chcą udowodnić. Chcą hodować orły, ażeby przez nie w razie wojny utrudniać zadanie nieprzyjacielowi. Myśl hodowania orłów zrodziła się z przygody, jaką przeżył lotnik Gibert, podczas lotu Paryż—Madryt. Orzeł był tak natarczywy, że Gibert musiał strzelać z rewolweru, ażeby natrętnego ptaka odpędzić; stracił wskutek irytacji kierunek i musiał w końcu wylądować, ażeby się znów mógł zorjentować. Orzeł przeszkodził mu więc w doprowadzeniu całego lotu do skutku.

I oto oficerowie nicejscy postanowili wytresować sześć młodych silnych orłów do utrudniania lotu pilotom. Kazano głodzić orły i kładziono potem mięso na skrzydła aparatu. Orły rzucały się z taką zjadłością na mięso, że rozszarpały przytem skrzydło aeroplanu. Stąd wniosek, że pewna ilość orłów, wypuszczona w pobliżu aparatów nieprzyjacielskich albo je zniszczy, albo conajmniej wyprowadzi lotnika z równowagi. Ptaki są też tak tresowane, że ani strzały, ani huk motoru ich nie odstrasza. Kładziono także mięso na modelu ba-

lonu, przyczem się pokazało, że ptaki te są także w stanie zniszczyć powłokę balonu.

Bestjalstwo. Kowal Wojciech Szeląg i furman Jan Czaban chcieli wypróbować celność rewólweru i w tym celu dali 3 strzały do psa raniąc go ciężko. Następnie bili psa młotkiem, a w końcu żyjącego jeszcze zagrzebali. Dzięki interwencji lwowskiej policji zwierzę odkopano i oddano rakarzowi. Sprawcy odpowiadać będą za swój czyn przed sądem.

Deszcz a zwierzęta. Lwy, tygrysy i inne zwierzęta z rodziny kocięj boją się deszczu. Spostrzeżono po ogrodach zoologicznych, że w dniu deszczowe zwierzęta te biegają niespokojnie po klatkach, bezustannie rycząc i drżąc na ciele. Dopiero nadzwyczajna dawka mleka uspokaja je, bo wtedy usypiają. Wilki zaś lubią dzień pochmurny, pluskotliwy; wtedy wyraz ich nazwaćby można niemal miłym. W dniu deszczowe dozorczy menażeryj itd. nie obawiają się wcale wilka, bo wówczas zwierz ten, jakkolwiek zresztą drapieżny bardzo i napaśliwy, staje się pokojowo usposobionym. I węże lubią deszcz. Małpy natomiast deszcz zasmuca; gdy ujrzą deszcz przez szyby menażerji, zakładają łapy przednie ponad głowę i siedzą potem bez ruchu godzinami — założone łapy, to widocznie ruch instynktowny, odziedziczony po przodkach, co się nim chronili w lesie.

Dlaczego zające ogryzają korę z drzew, a psy jedzą trawę? Kora, składająca się głównie z drzewnika, nie posiada prawie składników pokarmowych i jest właściwie bez znaczenia dla żywienia zwierząt. Inna rzecz z gałązkami młodeimi, te są pożywne. A tu właśnie widzimy, że zając nie zjada gałązek, lecz zdziera z nich korę, a nawet z pni. Dlaczego to czyni? Wkorze drzew jest wiele cennych składników np. kwas garbnikowy, kwas salicylowy. Otóż one są powodem do obgryzania kory. Związki te są mu właśnie potrzebne, gdy po przymrozkach, w czasie mokrym a zimnym pocnie chorować. Jego instynkt samozachowawczy wskazuje mu środki, które go wyleczą z niedyspozycji żołądka, z gościca itp.

Człowiek podpatrywał zwierzęta — u niego skutkiem rozwoju władz umysłowych stępsiały zmysły samozachowawcze — i od nich nauczył się używania wielu roślin leczniczych.

Często widzimy, jak psy jedzą trawę, a nawet na tę pamiątkę zowiemy kupkówkę psią trawą. Żołądek psi trawy nie

potrafi strawić, a przecież pies ją zjada. Gdy pies gryzie i połtyka kości, wówczas dostają się i drzazgi kostne, które mogłyby wywołać zranienie ścian żołądka. Mając znaczny zapas kwasu solnego, potrafi żołądek psi rozpuścić kości, ale ukrytych we fałdach i kątach żołądka drzazg nie osiągnie. Zjedzona trawa pomiesza się z kosteczkami, które następnie wraz z trawą pies oddaje, do czego czuje wielki pociąg i co mu sprawia — o ile widać — zadowolenie w organizmie.

Kury na pastwisku oddają usługi i gdzie to jest możliwe, powinny uczęszczać jak najwięcej. Przedewszystkiem zbierają kury przeróżne robaki, które mogą niszczyć trawy, nadto roznoszą, rozgrzebują odchody krów, co jest ważnem, gdyż te palą trawy, a nie nawożą pastwiska, gdy ich się nie rozrzuci; Tę właśnie czynność dobrze uskuteczniają kury. Jednakże białe kury są złe, gdyż łatwo drapieżnym ptakom wpadają w oczy i są przez nie tępione. Mały domek jako ochrona w czasie deszczów i słoty jest pożyteczny. Podobnie jak na pastwiskach oddają kury dobre usługi w polu po żniwach, gdy zbierając ziarno wypadłe, dużo jaj niosą, nadto przy orce za pługiem zbierają przeróżne robactwo, jak pędraki itp. Tam też, gdzie pola są obok domów, dobrze jest drób wypędzać na pola po żniwach i zbiórce, nawet i na dalsze, aby wybierał to, czego człowiek już wybierać nie może, gdyż przez to zarówno utrzymanie drobiu staje się znacznie tańszem jak i pożytek większy i szkody mniejsze, gdyż drób zjada wiele owadów, które rzucają się na plony i niszczą je niekiedy bardzo. W niektórych krajach n. p. w Danii używają osobnych domków przenośnych, które w czasie robót wywożą z drobiem w pole i tam wypuszczają, gdzie drób szuka żeru, a wieczorem znów przewożą do domu.

Rzadki wypadek telepatji. W „New York Heraldzie“ pojawił się przed kilku dniami artykuł, opisujący wypadek tak szczególny i ciekawy, że prawie nieprawdopodobny. Możliwość go uważać za wymysł fantastyczny gdyby — nie był podpisany pełnem imieniem i nazwiskiem znanego astronoma i uczonego francuskiego, Kamila Flammariona. Jest to niezwykły fakt telepatji, między jednym z kolegów autora, a jego ginącym psem. Flammarion, podaje co następuje:

„Profesor astronomii w Paryżu, Jerzy Graesen, wybitna osobistość naukowa, posiadał psa — bernarda, imieniem Bobby,

niezmiernie doń przywiązano. Leżał on zawsze u stóp Graesena, gdy tenże pracował w swem obserwatorjum astronomicznem. Bobby nie odstępował swego pana i na przechadzkę bacząc na każde jego skinienie. — Wspaniałe zwierzę odznaczało się rzadką nawet jak na bernardy, inteligencją.

Przy tem wszystkiem nie lubiał obcych, którzy przekraczali próg domu jego pana. Ba, tę samą niechęć okazywał nawet wobec domowników i nikomu, prócz panu nie dozwalał się dotykać; dokumentował to zaraz — energicznem ukazywaniem zębów.

Pewnego wieczora musiał prof. Graesen pozostać sam w obserwatorjum, gdyż oczekiwał kolegę, który nie lubiał psów. Bobby więc dostał chwilową dymisję. Żona uczonego wypuściła na ulicę psa, nie budzącego w niej zbytniego uczucia zaufania. W tym samym czasie posłyszał Graesen pod drzwiami swej pracowni drapanie i skomlenie. Otworzył więc je; Bobby wpadł jednym skokiem do wnętrza i otarł się nosem o rękę swego pana. Profesor pochylił się, aby pogłaskać swego ulubieńca, lecz ten znikł nagle. Zdumiony tem i zaniepokojony niezwykłością zdarzenia podszedł uczony do telefonu i zapytał żony, czy Bobby jest w domu. Odpowiedź wstrząsnęła nim całym; oto pani Graesen doniosła mu podniesionym głosem, że widziała właśnie przez okno, jak jakiś automobil przejechał na śmierć biednego psa.

A więc zgon wiernego Bobby nastąpił w tej samej chwili, gdy pojawił się on w pracowni swego pana!

Flammarion twierdzi więc, opierając się na oświadczeniu zupełnie wiarygodnego świadka zdarzenia, t. j. prof. Graesena że pies tak silnie był doń przywiązany, że w chwili śmierci wydzielił się z mózgu zwierzęcia pewien rodzaj fluidu i podziałał na mózg Graesena w ten sposób, że ten doznał dopiero co opisanego zdarzenia, a więc objawu telepatji.
